

# "Kolaboranci"

O zarzutach kolaboracji z okupantami Polski, stawianych w PRL prof. Rudolfowi Weiglowskiemu i wszystkim pracownikom jego Instytutu, dowiedziałem się bardzo późno, bo dopiero w 1957 roku. Wtedy bowiem, po raz pierwszy od zakończenia ekspatriacji Polaków ze wschodniej części Polski („zabuzańskie”), otworzyła się możliwość odwiedzenia naszych rodzin na ich pisemne zaproszenia. Stanowiła ona jedną ze zdobyczy „Października 56” i następstwem wizyty delegacji polskiej z Gomułką na czele, złożonej w Moskwie. Było to już po wizycie Konrada Adenauera, który także osiągnął tam pewne koncesje. Po dziesięciu latach ścisłego odcięcia od reszty Polski, w „żelaznej kurtynie” zaczęły się pojawiać szpary. Stopniowo odradzały się stosunki rodzinne, a przy tej okazji wiązano także porwane nici kontaktów konspiracyjnych. Tą drogą zaczęły do Lwowa napływać wiarygodne informacje o metodach realizacji socjalizmu w PRL, o sowietyzacji i judaizacji Polski, o losach poszczególnych osób i grup kombatanckich (gdzie, kto został zamordowany, jakie były procesy, wyroki, o kogo pytali w śledztwie, kogo jeszcze poszukują itp.). Falą „odwilży” objęte zostały również oficjalne kontakty w sferze kulturalnej (dopuszczono np. do Lwowa zespół pieśni i tańca „Mazowsze”, którego występy witane były przez zabiedzoną, zastraszoną i spacyfikowaną ludność polską miasta z entuzjazmem i ze łzami w oczach) i naukowej (sporadyczne wizyty poszczególnych uczonych polskich na uniwersytecie i politechnice lwowskiej). „Odwilż”, która wystąpiła w Związku Sowieckim po śmierci Stalina i po postanowieniach XX Zjazdu Partii, nie miała jednak w sobie nic ze zjawiska naturalnego. To nie było spontaniczne poszerzenie wolności obywatela w stosunku do uprawnień państwa. Nic podobnego. W państwie totalitarnym zjawisko takie jest nie do pomyślenia. To była odwilż zadekretowana przez państwo i przez nie całkowicie kontrolowana. Z chwilą pojawienia się w „żelaznej kurtynie” prześwitów czy wyłomów, zostały one natychmiast obstawione kegebistami z całą ich bezpieczniacką biurokracją. Wyjazdy i przyjazdy do Lwowa zostały poddane różnym wymogom: wypełnianiu ankiet, przedstawianiu różnych poświadczeń, odpisów dokumentów i poddawaniu się badaniom. Np. przy załatwianiu zaproszeń do Lwowa z początku funkcjonariusze KGB odwiedzali mieszkania osób zapraszających gości, by sprawdzić na miejscu, czy dysponują odpowiednimi warunkami do przyjęcia zaproszonych osób. Z czasem, być może wskutek lenistwa funkcjonariuszy urzędów bezpieczeństwa, od tej formalności odstąpiono.

Wprawdzie cała „odwilż” została – szybko i celnie – oceniona (Józef Mackiewicz, Władimir Bukowski) jako jeszcze jedno wielkie oszustwo obliczone na zmiękczenie Zachodu, jako kolejny etap dalekosiężnej strategii mającej przedstawić socjalizm jako ustrój reformowalny, zbliżający się do kapitalizmu, a Związek Sowiecki jako przyjaznego partnera stosunków z Zachodem, - to jednak oszustwo to musiało zawierać jakieś elementy dobra, inaczej bowiem nie znaleźliby się kandydaci na oszukanych. Takim dobrem, na którym skorzystała ludność polska Lwowa, była niewątpliwie możliwość czasowych wyjazdów do PRL, a w niedalekiej przyszłości nawet wyjazdów na pobyt stały (czyli tzw. „druga repatriacja”, a właściwie: ekspatriacja). Fala odwilżowa objęła również Polaków (głównie żołnierzy AK), którzy po odbyciu najczęściej dziesięcioletniej kary pozbawienia wolności, skierowani zostali na przymusowe osiedlenie w dalekowschodnich rejonach Związku Sowieckiego. Teraz otrzymali pozwolenie na wyjazd do PRL, jeśli tylko ich rodziny opuściły uprzednio w trybie ekspatriacji tereny Polski zajęte po wojnie przez Związek Sowiecki.

## *Pierwsze sygnały o zniestawianiu*

Wśród szczęśliwych lwowian, którym udało się dzięki tym zmianom odwiedzić rodziny w Polsce zachodniej, był również Doktor. Miał siostry w Warszawie (najstarszą i najmłodszą z rodzeństwa) oraz brata, Ksawerego, lekarza w Bielsku-Białej. Liczył na pewno także na spotkanie z Profesorem Weiglem, z którym – o ile mi wiadomo – w ciągu dziesięciolecia 1946-56 nie wymieniał korespondencji drogą pocztową, a tylko odbierał wiadomości o nim i przekazywał informacje o sobie i Instytucie, korzystając z rozmaitych okazji grzecznościowych. Przez cały ten okres względy bezpieczeństwa dominowały nasze zachowanie się i postępowanie. Przypuszczam, że wiele obiecywał sobie po spotkaniach z dawnym środowiskiem *Odrodzenia* oraz z byłymi kolegami i pracownikami Instytutu prof. Weigla w czasach okupacji niemieckiej. Niestety, do spotkania z Profesorem nie doszło: zmarł trzeciego dnia przed przyjazdem Doktora (11 VIII 1957).

Stąd jedynym wiarygodnym źródłem informacji o Profesorze, jego losach, kłopotach, przykrościach, o różnych manipulacjach, które udaremniły starania o Nagrodę Nobla dla niego, i wielu innych wielkich i małych sprawach musiała być wdowa po nim, dr Anna Herzig, również pracownik Instytutu i to swego czasu bardzo ważny, a dla niektórych nawet bardzo srogi, gdyż kierujący sprawami kadrowymi. Był to przecież „resort”, na którym ciążyła ogromna odpowiedzialność tak wobec samego Instytutu jak i polskiej społeczności Lwowa. Otóż wśród wielu nowin z tego źródła, przywiezionych przez Doktora do Lwowa, była również wiadomość o oskarżeniu Profesora i całego jego Instytutu – czy nawet ciąglem, anonimowym oskarżaniu go – o kolaborację z okupantem niemieckim. (Dużo później znaleźli się i tacy, którzy rozciągnęli je i na kolaborację z okupantem sowieckim).

Relacjonując przywiezione wieści, nawet te przykre o inkryminacjach i kalumniach rzucanych na Profesora i jego Instytut, Doktor czynił to z właściwym mu pobłażliwym uśmiechem. Zauważyłem jednak, że chwilami uśmiech ten przygasał. Jakiś cień smutku czy rozczarowania ludzką niewdzięcznością kładł się na jego twarzy. Być może borykał się i z własną bezsilnością, i z wątpliwościami co do oceny naszej postawy w czasie okupacji. Wtedy poważniał i rzucał jakąś refleksję w rodzaju: „a myśmy tyłu ludziom pomogli, tyłu uratowali”. Zarzut kolaboracji wydał mi się tak absurdalny, że go po prostu zbagatelizowałem. Powiedziałem Doktorowi, że nie warto się nim przejmować, gdyż ludzi głupich i złych u nas nigdy nie brakowało. Tak samo ocenili sprawę dwaj bliscy mi koledzy – laboranci (Garliński i Lenartowicz), którzy przepracowali w Instytucie cały okres okupacji niemieckiej. Dla nas (zresztą z małymi wyjątkami dla wszystkich pracowników Instytutu) zatrudnienie w nim miało główną rację w tym, że dawało możliwość pełnego zaangażowania się w pracę dla podziemnego Państwa Polskiego. Tę zaś pojmowaliśmy jako główny nasz obowiązek i właśnie jako totalny sprzeciw wobec jakiegokolwiek kolaboracji z okupantem. Zarówno tej wielkiej, światopoglądowej lub geopolitycznej czy politycznej, jak tej małej, koniunkturalnej, handlarskiej, „szmalcowniczej” czy wprost prowokacyjnej i groźnej, bo napastliwej i donosielskiej. Z tą ostatnią walczyliśmy na co dzień, gdyż groziła nam bezpośrednio i niemal wszędzie. Nie była wprawdzie powszechna, ale miała agentów przebiegłych i ruchliwych. Można się było natknąć na nią niespodziewanie. Widzieliśmy zatem kolaborację tylko poza sobą. W sobie – nie. Trzeba było upływu około 20 lat, by ta postawa zaczęła we mnie budzić wątpliwości, a właściwie niedostatek racjonalnego uzasadnienia.

Nie wszystkie jednak wiadomości przywiezione z PRL-u były tak cierpkie jak insynuacje o kolaboracji. Doktor bowiem zetknął się w czasie swej podróży także z wieloma byłymi pracownikami Instytutu, którzy szczerze wyrażali swą wdzięczność wobec Profesora, ze wzruszeniem wspominali lata okupacji przeżyte pod ochronnym parasolem jego Instytutu, a teraz z radością witali i gościli Przybysza spoza „żelaznej kurtyny”. Był dla nich widomym znakiem łączności między dawnymi i nowymi laty, między ich młodością górną i chmurną a bolesną kapitulacją wobec peerelowskiej prozaiczności. Mirosław Żuławski, karmiciel wszy i strzykacz w Instytucie prof. Weigla, literat i poeta, po wojnie w PRL pracownik MSZ (działacz Polskiej Partii Socjalistycznej – PPS), uważany przez niektórych dawnych członków partii za kolaboranta z władzą peerelowską, obiecywał napisać książkę o Profesorze. Planu tego oczywiście nie zrealizował i skończyło się na napisaniu scenariusza do filmu o Instytucie (*Trzecia część nocy*), którego reżyserem był (przełom lat 60-tych i 70-tych) jego syn, Andrzej. Prof. S. Kryński, który był konsultantem reżysera, napisał, że jeśli w filmie „tak, a nie inaczej przedstawiono Instytut i Profesora, to tylko wina

cenzury i tych, którzy najbardziej są zobowiązani i uprawnieni do oceny czci Profesora”. (Z listu prof. S. Kryńskiego do Jadwigi i Zygmunta Giercuszkiewiczów, 8 IV 1971r.). Doktor spotkał się również z ludźmi nie związanymi z prof. Weiglem, ale znającymi bardzo dobrze jego działalność, aprobującymi jego postawę w czasie wojny i z podziwem oceniającymi rezultaty jego aktywności.

Najwcześniejszym wspomnieniem o Profesorze, które ukazało się po jego śmierci było wspomnienie Doktora. Był to tekst mowy żałobnej, którą wygłosił na jego pogrzebie, nieco zmieniony i rozszerzony. Mowę wysoko ocenił J. E. ks. arcybiskup krakowski Eugeniusz Baziak (do ekspatriacji ostatni arcybiskup lwowski), który poprowadził pogrzeb. W rozmowie z Doktorem dodał: „Cały czas bałem się, czy nie załamie się Panu głos, czy utrzyma się Pan w wysokiej tonacji”. Wspomnienie przyjęte zostało do druku przez „Tygodnik Powszechny”, gdzie Doktor spotkał się z jego redaktorem, a swoim bardzo bliskim znajomym z *Odrodzenia*, Jerzym Turowiczem. (Kilkakrotnie opowiadał mi o nim z uznaniem jako o wyróżniającej się osobowości w całym ruchu odrodzeniackim; nie ukończył studiów – zdaje się architektonicznych – i poświęcił się dziennikarstwu. Nawias ten jest właściwym miejscem na jeszcze jedną uwagę: „Tygodnik Powszechny” w PRL nie był takim samym pismem jak w III Rzeczpospolitej, choć jego zasadnicza linia eklezjologiczna w obu czasokresach była jednakowa; może dziś jest wyraźniejsza, ale ta sama; w PRL TP nie miał tylu przeciwników co dziś; w Polsce był jedynym pismem tego rodzaju, jego ogromna poczytność wynikała stąd, że duże grupy katolików nie widziały dla siebie alternatywy). Pierwszy czytelnik tekstu, a był nim cenzor, zainteresował się nie tyle jego treścią, co osobą autora i prosił Turowicza o jakieś informacje o nim. Sądził, że jest to jakiś nowy publicysta, którego on nie zna. Turowicz zasłonił się prawem autorskim i wyjaśnił, że tekst został podpisany pseudonimem, wobec czego nazwiska autora nie może ujawnić.<sup>1</sup> Gdyby ujawnił, Doktor mógłby mieć nie lada kłopoty. Kolejne wspomnienie o prof. Weiglu ukazało się w tygodniku „Przekrój”. Wyszło spod pióra jego syna, Wiktora („Turka”), podówczas lekarza pracującego w Akademii Medycznej w Zabrze. Napisane zostało w tonie lekkim, zresztą zgodnym z charakterem pisma. Doktor przywiózł jeden jego egzemplarz, miałem więc możliwość zapoznania się z tygodnikiem, który uchodził w PRL za „rąbek Zachodu”, odbiegał bowiem (niekiedy tylko usiłował odbiegać) od partyjnego drylu i ideologicznego dogmatyzmu całej prasy oficjalnej.

Stopniowo tematyka naszych rozmów z Doktorem, związana z jego wyjazdem do PRL, wyczerpywała się, aż w końcu znikła z nich zupełnie. Wraz z nią także wątek kolaboracji. Pochłonęła nas uciążliwa rzeczywistość sowiecka i różne dolegliwe kłopoty dnia codziennego. W każdym razie do mego wyjazdu ze Lwowa w 1959 r. i potem już w PRL do początkowych lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia, a więc w sumie przez ponad trzydzieści lat kolaboracją nie interesowałem się. Wzbudziła ona moją uwagę ponownie dopiero na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. w związku z ówczesnymi zmianami politycznymi oraz z pewnymi planami Doktora, o których piszę niżej. Jednak przez cały ten czas problem kolaboracji, tj. zagadnienie zarzutów stawianych prof. Weiglowi przez pewne osoby, istniał nadal.

## *Dwie przyczyny zniestawiania*

Wiem o nim już tylko z literatury wspomnieniowej oraz z ustnych relacji pracowników Instytutu. Jego zaczątek powstał, a następnie rozwijał się wokół konfliktu dwóch uczonych: prof. Rudolfa Weigla i dr. Zdzisława Przybylkiewicza, podczas okupacji niemieckiej pracownika krakowskiego oddziału Institut für Fleckfieber und Virusforschung des OKH, (kierowanego wówczas przez sztabarżta doc. dr. Hermana Eyera) po likwidacji oddziału w 1944 r. pracownika instytutu prof. O. Bujwida, w którym zorganizował produkcję szczepionki przeciwtyfusowej metodą prof. Weigla. Początkowo stosunki między obu panami i ich rodzinami układały się poprawnie, a nawet serdecznie. Jeszcze w jesieni 1944 r. pani profesorowa liczyła na pomoc Przybylkiewiczów w znalezieniu odpowiedniego mieszkania dla Weigłów w Krakowie, a dr. Przybylkiewicz zapewne także liczył na recenzję swej pracy habilitacyjnej przez Profesora. Zatarg zaczął się wiosną 1945 r. i zapowiadał wojnę, która, jak się okazało, miała dwie przyczyny. Pierwszą była decyzja władz o produkowaniu wszystkich szczepionek w ramach zakładów Produkcji Surowic i Szczepionek przy PZH (Państwowym Zakładzie Higieny), na mocy której szczepionka przeciw

durowi płamistemu miała być wytwarzana przez 4 zakłady: w Lublinie (lek. med. S. Kryński), w Częstochowie (w zakładzie ewakuowanym ze Lwowa) oraz w dwóch zakładach krakowskich, jednym prof. Weigla, a drugim dr. Przybylkiewicza. Decyzja ta dotknęła Profesora boleśnie, gdyż chciał być szefem jednego niezależnego zakładu. Drugą przyczynę stworzyła ujemna ocena pracy habilitacyjnej Przybylkiewicza przez prof. Weigla.

Przybylkiewicz działał z początku zgodnie z nakazem władz. Aczkolwiek decyzja ministerstwa była najprawdopodobniej po jego myśli, to jednak nie dał on żadnego powodu do niechęci Profesora. Jeszcze w czerwcu 1945 roku zabiegał u Profesora o spotkanie celem wyjaśnienia narosłych między nimi nieporozumień. Profesor nie uznał jednak za stosowne podjąć tę propozycję i korespondencja na ten temat przerwała się. „Kości zostały rzucone”. W wyniku tych posunięć Przybylkiewicz znalazł się w sytuacji wyjściowej znacznie korzystniejszej niż jego adwersarz. Był człowiekiem „tutejszym”, krakowianinem, miał za sobą lokalną społeczność naukową, a szczególnie sekundującego mu profesora medycyny sądowej, Olbrychta. Wszyscy widzieli, że został przez Profesora odepchnięty, byli więc sympatiami po jego stronie. Profesor zaś był postrzegany jako osoba o obrażonej ambicji i zawiedziona w niespełnionych nadziejach. Dla krakowskiego środowiska naukowego był człowiekiem z zewnątrz i to w dodatku pojawił się na fali ekspatriowanych ze wschodu, których na ogół przyjmowano i traktowano z niechęcią (J. Sztudynger kpil: „Kraków na wojnie ucierpiał немало: właśnie to, że mu się nic nie stało”).

Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji Kraków szybko stał się terenem pelzającej infamii na Profesora, przenoszonej przez „agencję” znaną w czasach okupacji pod kryptonimem JPP („jedna pani powiedziała ...”). Plotka – to broń, z którą walka jest bardzo trudna i właściwie beznadziejna. Jest bowiem zwinna, nieuchwytna („kolaborował czy nie kolaborował, ale coś z tymi Niemcami było ...”), stugębna i anonimowa. Ponieważ umarli bronić się nie mogą, trwało to długie lata, aż wreszcie w 1968 roku dr Przybylkiewicz wystąpił z podniesioną przyłbicą i wyraźnie sformułował pod adresem Profesora zarzut kolaboracji z Niemcami. Nastąpiło to na zebraniu Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów (PTM) z zamiarem utracenia projektu uczczenia na Zjeździe Towarzystwa w Lublinie 85. rocznicy urodzin prof. Weigla. Profesora Kryńskiego nie było w tym czasie w kraju, inni uczniowie Weigla mieli własne kłopoty, a rodzina prawdopodobnie o całym zniesławiającym zajściu nie wiedziała, nie było więc reakcji o sile odpowiadającej niegodziwości zniesławienia. Ograniczyła się ona do obrony Profesora przez prof. Meisla i prof. Jakubowską. To samo środowisko krakowskie zamierzało posłużyć się tą samą metodą do zniweczenia planu zorganizowania uroczystości rocznicowych w 1969 r. w Przemyślu. Tym razem wskutek interwencji prof. Kryńskiego (niestety drogą partyjno-rządową) u władz straszak kolaboracji z Niemcami nie zadziałał. Jednak wulkanik krakowski dymił dalej ... Dał o sobie znać kolejny raz już w dwa lata po tych incydentach: kiedy to w Krakowie miały być kręcone niektóre sceny wspomnianego filmu o prof. Weiglu i jego Instytucie („*Trzecia część nocy*”). Ruszyła więc do akcji stugębna wieść o rzekomej kolaboracji Profesora z Niemcami, mająca zniechęcić, a może i przestraszyć reżysera Andrzeja Żulawskiego. Jednakże nie wszyscy zainteresowani dali się zwieść plotkom i obronili się przed jej ewentualnymi następstwami, tak że w końcu film został zrealizowany.

Rozsiewane przez Przybylkiewicza pomówienia Weigla o kolaborację z Niemcami dotarły w jakiś sposób do prof. Hermana Eyera, byłego szefa krakowskiego Institut für Fleckfieberforschung des Oberkommandos des Heeres, i wywołały jego ostrą reakcję: zagroził Przybylkiewiczowi, który z nim współpracował w Instytucie w czasie wojny, wytoczeniem procesu o zniesławienie prof. Weigla. Pomogło, ale na krótko. Zaczęły krążyć pogłoski, że prof. Przybylkiewicz w czasie wizyty u prof. Eyera w Monachium, już po wojnie, widział fotografię prof. Weigla z serdeczną dedykacją dla Eyera. W 1983 roku nadarzyła się zaś ponownie okazja do zaatakowania Weigla przez Przybylkiewicza: konferencja naukowa PTM w stulecie urodzin prof. Weigla. W dyskusji po referacie prof. Stefana Kryńskiego, prof. Przybylkiewicz wysunął kilka poważnych, ale niesłusznych zarzutów przeciw prof. Weiglowi. Zostały one tak skonstruowane w oparciu o specjalnie dobrane fakty, by insynuowały, że już przed wojną powstał plan wojennej kolaboracji Weigla z Niemcami. Przywołany został fakt wyjazdu Profesora w 1938 r. do Genewy, a także podróż jego do Etiopii, w czasie której doszło do z góry zaplanowanego spotkania z Eyerem. Miało to sugerować, że już wówczas omawiano przyszłą organizację produkcji szczepionki w pierwszym etapie w Krakowie, a drugim we Lwowie. Oznaczałoby to, że Eyer i Profesor już wtedy przewidywali „zajęcie

przez Niemców Polski do Sanu i Bugu, a w drugim etapie dopiero we Lwowie, co by już wówczas zapowiadało atak niemiecki na ZSRR”, jak ripostował żartobliwie prof. Kryński w swym liście do prof. Przybylkiewicza z 5 X 1983 r. Tam też wyjaśnił, że wyjazd Profesora do Genewy nastąpił z inicjatywy Ligi Narodów i związany był nieudanymi szczepieniami szczepionką żywą, dokonywanymi przez dwóch uczonych w Maroku i Chile. Nie miał więc nic wspólnego z Niemcami. Ton listu był ostry, podyktowany niewątpliwie chęcią jego autora położenia kresu niekończącym się przejawom małostkowej, osobistej zawiści i zrodzonym z niej pomówieniom. „Pańskie postępowanie, Panie Profesorze” – pisał prof. Kryński – „w stosunku do Weigla jest wynikiem zapiekłej nienawiści, jaką Pan Profesor do niego żywi i zemstą za negatywną recenzję Pana pracy habilitacyjnej. (...) Szczególnie przykre jest to, że zaktywizował się Pan Profesor przede wszystkim po śmierci profesora Weigla, wykorzystując, że umarły nie może się bronić. (...) Byłem nie tylko uczniem Profesora Weigla, ale również jego przyjacielem i jako przyjaciel miałem szczególnie wyostrzone spojrzenie na jego błędy i pomyłki, ale wiem z całą pewnością, że nigdy nie był konformistą i że nigdy nie leżał u nóg władców, kimkolwiek by oni byli. Również jako przyjaciel, nie tylko uczeń, nie dopuszczę, by ktoś się ośmielił obrzucać go oszczerstwami”. Zapewne ten list, a prawdopodobnie także zbliżenie się jego adresata do kresu życia spowodowały, że nie doszło już więcej do żadnego publicznego i głośnego oskarżenia prof. Weigla o kolaborację z Niemcami, choć jeszcze w 1992 roku obiegła Kraków plotka: prof. Przybylkiewicz pisze wspomnienia i wykaże, że prof. Weigl nie był twórcą szczepionki przeciw durowi plamistemu. Tak więc wygasło ostatecznie zarzewie pomówień Weigla o kolaborację z niemieckim okupantem Polski. Ale problem kolaboracji nie przestał istnieć.

### *Projekt książki o profesorze Weiglu*

Wrócił do mnie raz jeszcze w początku ostatniej dekady XX wieku. Dekada ta zaczęła się dla Doktora smutno. Pogarszające się zdrowie, przy pełnej sprawności umysłowej i niestrudzonej woli apostołowania, zmusiło Go do rezygnacji z dalekich wypraw w głąb Rosji i dalej na wschód. Z czasem ustały wyjazdy do parafii w Barze i do innych zaprzyjaźnionych parafii na Ukrainie. Trzeba się było ograniczyć do Lwowa, a właściwie do własnego pokoju-kaplicy i do „własnych” parafian. Konieczność stworzenia nowego planu dnia, tygodnia i miesiąca musiała ujawnić wiele wolnych okienek czasowych. Bardzo szybko zapelnili je wspomnienia z dalekiej i bliższej przeszłości. Ożywiły je dwie okoliczności. Po pierwsze, wyłonił się próg starości. Z reguły u ludzi zbliżających się do niego czy przekraczających go odżywa sentyment do „kraju lat dziecińczych”, do miejsc, w których spędzili młodość, do osób tam spotkanych, a szczególnie do tych, które wywarły na nich wpływ i wobec których zachowują głęboką, osobistą i żywą wdzięczność. Dla Doktora miejscem takim był niewątpliwie Lwów, choć lata młodości dzielił z Przemysłem. We Lwowie jednak odbył studia medyczne, tu w „Odrodzeniu” kształtowała się jego osobowość religijna, tu doktoryzował się, tu znalazł swego mistrza naukowego w osobie prof. Weigla. Doktor miał dużą wiedzę o historii Lwowa, jego kulturze i jego lokalnym kolorycie, ale nigdy się z tym nie zdradzał. Wszystko wyszło na jaw, gdy w latach 90. zaczął wymieniać poglądy i listy z jednym z liczących się znawców folkloru lwowskiego, Januszem Wasylkowskim. Drugą okolicznością (zewnętrzną), która porwała go w przeszłość był najazd dziennikarzy różnego autoramentu, a także historyków, zarówno świeckich jak i duchownych, na całą Małopolskę Wschodnią, a więc także i przede wszystkim na Lwów, który zaczął się w związku ze zmianami politycznymi w Europie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Jeśli inwazja ta objęła cały Lwów, to także i Doktora, którego lwowiaci odwiedzający miasto —po trzydziestu, czterdziestu i więcej laty — nazywali Patriarchą społeczności polskiej. Tej, która oparła się ekspatriacji i pozostała „semper fidelis”. Ludzie byli spragnieni informacji o latach przeżytych pod okupacją sowiecką, przyjeżdżali w porę i nie w porę, życzliwi, szczerzy, pamiętający i wdzięczni, gotowi do pomocy i z pomocą w ciężkich warunkach zmiany władzy, ale bywali i żądni sensacji dziennikarze, łowcy tematów do artykułów i książek czy poszukiwacze wybitnych osobistości celem uzyskania wywiadu. Był to okres dla Doktora trudny. Nielatwo bowiem rozmawiać z kimś, kogo się nie zna, czasem ledwie poleconym, a czasem i nie. Tym bardziej, że jeszcze ciągle nie przestała oddziaływać atmosfera nieufności, ostrożności, zniewolenia i zagrożenia, właściwa minionemu systemowi politycznemu. Jednocześnie nasiliły się

kontakty między Doktorem a grupką osiadłych we Wrocławiu byłych weigłowców i mosingowców. Kilkakrotnie odwiedził go dr Stefan Swaton wraz ze swą siostrą oraz inż. Tadeusz Kardasz. Jedynie ja nie zdobyłem się wówczas na podróż do Lwowa, czego dziś bardzo żałuję. Był więc Doktor informowany o różnych projektach upamiętnienia działalności prof. Weigła, powstałych we Wrocławiu: o projekcie nadania jednej z ulic w okolicy Szpitala Wojskowego i Instytutu Immunologii nazwiska Profesora, wydania przez Poczty Watykańską, potem przez Poczty Polską, znaczka z Jego wizerunkiem, postawienia Mu pomnika lub pomnika-głazu; zorganizowania we Wrocławiu poświęconej Mu Sesji Naukowej. (Sesja taka odbyła się rzeczywiście w październiku 1994 r., w 111-tą rocznicę urodzin Profesora, a wśród wielu referatów był również referat przysłany przez Doktora).

Nic więc dziwnego, że pozostając pod silną presją przeszłości, Doktor postanowił napisać książkę o prof. Weiglu. Zamiar ten zaczął realizować i nawet pewne fragmenty rękopisu czytał dr. Swatonowi i jego siostrze podczas ich bytności we Lwowie. Zachwycali się piękną polszczyzną Doktora, czemu się nie dziwię, gdyż znam ją z Jego listów i artykułów. Książka miała mieć Aneks, w którym Autor zamierzał umieścić kilka wspomnień pracowników zatrudnionych w Instytucie w czasie wojny. Zwrócił się więc do wrocławskiej garstki weigłowców o przysłanie swoich reminiscencji.

Spełniając Jego wolę, zamierzałem oprzeć swoje wspominki na podobnym opracowaniu, które w 1969 r. na życzenie Doktora przesłałem do Przemysła (dr Birn), gdzie miała powstać w tamtejszym muzeum sala poświęcona Profesorowi. Zabierając się do pracy nad powiększeniem i pogłębieniem tekstu z 1969 r., natrafiłem na nową i nieprzewidywalną przeszkodę. Był nią termin „kolaboracja” („kolaborant”, „kolaborować”). Znany mi już był jako zarzut, obelżywe wyzwisko czy oszczerstwo. Samo słowo pochodzenia łacińskiego oznacza w polszczyźnie współpracę, współdziałanie i jeszcze w międzywojniu, używane było potocznie, bez otoczki etycznej. W tym znaczeniu i Profesor i pracownicy kierowanego przezeń instytutu byli niewątpliwie kolaborantami. Gdyby otwarcie lub drogą sabotażu na wielką skalę wypowiedzieli tę kolaborację, to bardzo szybko Instytut zostałby zamknięty, a jego pracownicy najprawdopodobniej także.<sup>2</sup> Wobec tego rozwiałyby się nadzieje na spełnianie przez Instytut roli osłony społeczeństwa przed okupantem, co stanowiło istotny powód kolaboracji. Ale w opinii szerokich kręgów społeczeństwa kolaborantami byli również donosiciele do gestapo i jego agencji. Byli nimi także pewni muzycy, literaci i dziennikarze prasy gadzinowej. W początkach okupacji również działacze niektórych partii politycznych, wabieni przez Niemców rzekomo zbieżnymi celami i zbliżoną ideologią, albo znani z filogermanskich poglądów politycy. Powstaje więc problem takiego zdefiniowania kolaboracji, by pojęcie to stało się pojęciem etycznym. Jego definicja powinna określać, kiedy (pod jakimi warunkami, w jakich granicach) kolaboracja z okupantem jest etycznie dopuszczalna.

### *Definicja kolaboracji jako pojęcia etycznego*

Cel ten można osiągnąć dwiema drogami: albo wychodząc z założenia, że kolaboracja z okupantem jest tylko jednym z rodzajów czynów ludzkich rodzących skutki zarówno złe jak i dobre – sformułować warunki, pod którymi może ona być uznana za etyczną; albo też zdefiniować tylko kolaborację nieetyczną, a wszystkie inne jej formy jako niespełniające kryteriów definicji uznać za etycznie poprawne.

W opracowaniu dla Doktora obrałem drogę pierwszą. Oparłem się na znanej w etyce tomistycznej definicji zasady podwójnego skutku (*principium de duplici effectu*), stwierdzającej, że „Wolno wykonywać czynność, z której wynika podwójny skutek: dobry i zły, o ile spełniają się następujące warunki:

- a) Sama czynność jest dobra lub obojętna, a przynajmniej nie zakazana w tym celu, aby przeszkodzić spełnieniu złego skutku;
- b) skutek dobry nie wynika za pośrednictwem skutku złego, ale równocześnie z nim lub wcześniej od niego;
- c) skutek zły, choć przewidywany, nie jest jednak przez sprawcę zamierzony, ale tylko tolerowany, dopuszczony;
- d) zachodzi przyczyna odpowiednio ważna, czyli proporcjonalnie wielka w porównaniu ze skutkiem złym.”<sup>3</sup>

Jeśli teraz zestawi się z tą definicją fakt kolaboracji prof. Weigla i jego Instytutu z okupantem, to z tej konfrontacji wynikają następujące wnioski dotyczące poszczególnych warunków:

- 1) Warunek pierwszy „kolaboranci” spełniali, gdyż produkowanie szczepionki przeciw durowi plamistemu jest samo w sobie czynnością dobrą lub obojętną, nawet jeśli ta szczepionka uodporniała przeciw durowi plamistemu żołnierzy agresora.
- 2) Podobnie zrealizowany został warunek drugi: dodatnie bowiem skutki społeczne działalności Instytutu następowały jednocześnie z produkowaniem i dostawą szczepionki Niemcom, a bardzo często je wyprzedzały. Nowoprzyjęci bowiem pracownicy stawali się uczestnikami i współtwórcami korzyści społecznych już w okresie szkoleniowym i adaptacyjnym, a więc na długo przedtem, zanim zaczęli być pełnowartościowymi pracownikami produkcyjnymi.
- 3) Także dopełniony został warunek trzeci: sądząc z zachowania się Profesora wobec Niemców, ani On sam, ani w przeważającej większości pracownicy Jego Instytutu, nie zamierzali w pierwszym rzędzie ratować od śmierci tyfusowej agresora czy też przyczynić się do jego zwycięstwa w toczącej się wojnie. Ten skutek był tylko tolerowany jako konieczność; bez niego nie byłoby skutku moralnie dodatniego działalności Instytutu. Bez jego dopuszczenia działalność ta w ogóle nie powstałaby.
- 4) Podobnie spełniony został i warunek czwarty: istniała wielka przyczyna działania o podwójnym skutku w postaci wielkiego, odpowiednio proporcjonalnego skutku dobrego w stosunku do skutku złego. Była nią chęć ratowania Polaków przede wszystkim we Lwowie, ale i poza nim przed wyniszczeniem fizycznym, degradacją umysłową i demoralizacją.

Do takich samych wniosków prowadzi konfrontacja powyższego przypadku „kolaboracji” z uzupełnieniem i pogłębieniem tradycyjnej koncepcji tomistycznej, którego dokonał ks. prof. Tadeusz Ślipko SI w cytowanej pracy (s. 350, 354-361). Autor wprowadza i definiuje dwa pojęcia: 1) tzw. aktu zamierzenia bezpośredniego i 2) aktu zamierzenia pośredniego (pod który podpada omawiany przypadek „kolaboracji”).

„Akt zamierzenia pośredniego ma zawsze przedmiot złożony”. Jednym z jego elementów jest „skutek naturalny stanowiący przedmiot zamierzenia bezpośredniego, którego istnienie w akcie zamierzenia pośredniego zawsze się zakłada”. (s. 357). W etyce tomistycznej jest on skutkiem zakładającym dobro. (W naszym przypadku chodzi o chęć pracy w Instytucie z motywu: zarobkowego, bezpieczeństwa poruszania się, zabezpieczenia się przed wywozem na roboty do Niemiec, dysponowania wolnym czasem na cele nauki, dodatkowego zarobku i najszerzej pojętych celów społecznych).

Drugim natomiast elementem przedmiotu zamierzenia pośredniego jest „skutek uboczny, w zasadzie już nie zamierzony, tylko tolerowany, dopuszczony. Ten <wymuszony> charakter przejawia się w tym, że człowiek nie zamierzałby tego działania, któremu towarzyszy ów skutek, gdyby nie skłaniała go do tego jakaś ważna racja. Kompensuje ona zasadniczą niechęć woli i jej odwrócenie się od skutku ubocznego”. „Konieczność wspomnianej kompensaty wynika stąd, że w etyce tomistycznej (...) zakłada się zawsze, że ów skutek uboczny jest skutkiem złym.” (Tamże). Tym skutkiem ubocznym i złym w przypadku „kolaboracji” Instytutu była praca dla okupanta: produkowanie dla niego szczepionki przeciwtyfusowej i (albo) oddawanie (sprzedawanie) na ten cel własnej krwi. Z pełnym poczuciem odpowiedzialności można powiedzieć, że ogromna większość pracowników nie podjęłaby pracy w Instytucie właśnie z uwagi na ten skutek uboczny i zły, gdyby nie był on kompensowany ważną przyczyną ratowania własnego życia i bytu Narodu.

Stąd, formułując zasady odpowiedzialności za spełniony akt, cytowany Autor pisze: „5. Człowiek nie ponosi moralnej odpowiedzialności za skutki działania fizycznie złe, pośrednio zamierzone zarówno wtedy, kiedy ta pośredniość oparta jest na zasadzie współdziałania innej przyczyny, jak i równoczesnego wynikania skutku wewnętrznie uwarunkowanego”. (s. 360). Pod ten wniosek daje się podciągnąć także „kolaboracja” Instytutu prof. Weigla.

Tyle wielkie autorytety filozoficzne i etyczne. Z kolei nasuwa się jednak pytanie, jak na poruszony problem zapatrywali się czy zapatrują „laicy”: niespecjaliści w dziedzinie etyki, osoby nie obeznane z jej zawilociami, do których poznania i zrozumienia potrzebne jest już jakieś przygotowanie (choćby niektóre z nich z racji wykonywania zawodu lub pełnionych funkcji w społeczeństwie takie przygotowanie powinny mieć, jak np. dziennikarze, byli pracownicy Instytutu itp.). Ryszard Wójcik, dziejopis Instytutu prof. Weigla, autor książki *Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla*, publikowanej od września 1980 r. w odcinkach

we wrocławskiej „Odrze”, ale nie ukończonej, postanowił w 1989 r. zrealizować film dokumentalny o tym Instytucie. Scenariusz jego został jednak odrzucony przez dyrektora II programu telewizji. Dopiero w 15 lat potem, w 1994 r., zabrał się ponownie do urzeczywistnienia swego planu. W tymże samym roku opublikował w „Przeglądzie Tygodniowym” (1994, nr 4, s. 15) artykuł pt. *Pakt z diabłem*, w którym znalazły się typowe postawy pracowników Instytutu wobec problemu kolaboracji. Dwie z nich pochodzą ze scenariusza z 1989 r., trzecia została wyłowiona przez Autora w 1994 r.

Postawa pierwsza – to pełna aprobatą kolaboracji. Oto osoba zatrudniona przy wypreparowaniu jelit insektów (po wojnie redaktorka „Ossolineum”) nigdy nie odważyła się uszczuplić ilości jelit przepisanej na jedną ampulkę szczepionki i gwarantującej jej skuteczność. „Skuteczność – dodaje autor od siebie – osłony zdrowotnej dla zbira mordującego ludność białoruskich czy ukraińskich wsi, oprawcy wyrzynającego w pień mieszkańców getta.” R. Wójcik imputuje taką postawę także prof. Weigłowi, gdy pisze: „Gdy władza radziecka zarządza Lwowem, Weigl, jakby nigdy nic się nie zdarzyło, przyjmuje nominację na dyrektora nowo utworzonego instytutu mikrobiologii i już w połowie 1940 r. rusza z odczytami do Kijowa i Moskwy ... tak? A w niecałe dwa lata później, gdy Niemcy szturmują Stalingrad, on daje im najlepszą szczepionkę na świecie! ... Uzbraja Hitlera bronią najlepszego gatunku!”<sup>4</sup> W tym samym duchu wypowiedziały się autorytety moralne w redakcji „Gazety Wyborczej”, relacjonując odbywającą się w 1994 r. we Wrocławiu konferencję ku czci prof. Weigła: „Dyrektor Instytutu Tyfusowego we Lwowie wraz z dużym zespołem współpracowników wytwarzał podczas wojny szczepionkę, która uchroniła zarówno armię radziecką, jak i niemiecką przed epidemią duru”<sup>5</sup> („Gazeta Dolnośląska”. Regionalne wydanie „Gazety Wyborczej”, 15-16 X 1994).

Postawa ta – jak mogło by się wydawać – płynąca z oportunistu, nie była wbrew pozorom wcale postawą wygodną. Była bardzo trudna, wymagająca stałej czujności i samokontroli, czy granica wyznaczona przez sumienie nie została przekroczona. A przede wszystkim bardzo niebezpieczna, czego doświadczył na sobie sam Doktor. Za czasów okupacji niemieckiej, jak już o tym pisałem, Doktor za zgodą władz niemieckich Instytutu raz czy dwa razy w tygodniu szczepił rodziny pracowników oraz osoby, które były z nimi w kontakcie i zostały przez nich polecane; czyli w praktyce prawie każdy, kto chciał się zaszczepić, mógł z tej drogi skorzystać. Był tylko jeden warunek: nie wolno było szczepić Żydów. Któregoś popołudnia weszła do gabinetu Doktora młoda Żydówka, podała nazwisko osoby polecającej i prosiła o zaszczepienie jej. W poleceniu były jakieś niejasności, zresztą nie zostało ono zgłoszone wcześniej, tak że nie można było wykluczyć prowokacji. Doktor stanowczo odmówił. W dziesięć lat potem, gdy Lwów był pod drugą okupacją sowiecką, Żydówka ta spotkała Doktora na ulicy, zatrzymała go i zapytała: czy pan sobie przypomina, że w czasie wojny nie chciał pan mnie zaszczepić przeciw tyfusowi? Teraz poniesie pan konsekwencje. Niedługo potem Doktor dostał wezwanie na KGB. Oficerowi prowadzącemu sprawę przedstawił powody, dla których odmówił zaszczepienia przeciw tyfusowi: mogłem zaszczepić jedną Żydówkę, ale wskutek złamania przyrzeczenia danego Niemcom prawdopodobnie odbyłoby się to kosztem tysięcy ludzi, w tym też – co paradoksalne – i Żydów w gettach i obozach. Niemcy zakazałyby szczepienia pewnych kategorii ludności cywilnej. A co wy uczynilibyście na moim miejscu?, zapytał oficera. To, co i wy profesorze. Mielicie rację. I na tym sprawa się skończyła. Było to na początku lat pięćdziesiątych XX w., gdy władza sowiecka już trochę okrzepla i poczuła się mocna; opadła więc nieco pierwsza fala nienawiści i minął szal polowania na wrogów ludu. Gdyby zaś cała sprawa wypłynęła tuż po wojnie, w latach 1945-1948, Doktor prawdopodobnie nie uniknąłby aresztowania i zsyłki.

W wypadku prof. Weigła postawa „kolaboracji”, gdy przybierała formę bliskich kontaktów z niemieckimi władzami Instytutu (Eyerem, Danielsem, Barthem i innymi Niemcami) wykraczających poza konieczną lojalność służbową, bywała niekiedy źle widziana i krytykowana przez niektórych pracowników Instytutu. Ale, jak pisze w swych wspomnieniach jeden z jego uczniów, prof. Stefan Kryński, „trzeba się zastanowić, dlaczego tak postępował. Dzięki niemu i jego kontaktom, zakład stał się w tym czasie azylem nauki polskiej. Pracowali tu profesorowie, asystenci i ich rodziny, odbywały się narady, przewody doktorskie, habilitacje. Zatrudniono rzesze młodzieży zagrożonej wywozami na roboty do Niemiec”. Dodajmy, że w wypadku aresztowania któregoś z pracowników Profesor interweniował u Niemców i ratował mu życie. Jednym z nich był Jan Reutt, który już jako lekarz, w czasie konferencji wrocławskiej w 1994 r. dał w swym wspomnieniu wyraz wdzięczności Profesorowi za uwolnienie go z rąk gestapo.

Druga postawa była odwrotnością pierwszej: żadnej kolaboracji, totalny opór i sabotaż. Reprezentantem jej był matematyk, profesor Uniwersytetu Iwana Franki we Lwowie, po wojnie we Wrocławiu, Bronisław Knaster. Jego zdaniem, w warunkach hitlerowskiego terroru sabotaż „był świętym obowiązkiem każdego Polaka”. Postawę przeciwną nazywał abstrakcyjnym humanitaryzmem. „Owszem, mówił, i ja bywałem świadkiem tych wyabstrahowanych dysput na temat <jakie środki są moralnie dozwolone w walce z wrogiem>. (...) Zdarzały się natury tak wydelikaczone, że negujące potrzebę sabotażu i wszelkiego podstęp w walce z wrogiem!”. W swej wcześniejszej, bogatszej relacji<sup>6</sup> ze spotkania z prof. Knastrem, R. Wójcik napisał: „Profesor, sławny uczyony podbiega do tablicy, na której są wypisane zadania dla studentów (...), ściera je gąbką i (...) nie bacząc na zdumionych, przypadkowych słuchaczy, wypisuje kredą wzór matematyczny, jakim posłużył się niegdyś w sporze na temat, czy moralny jest podstęp w walce z przeważającym wrogiem”. W praktyce pojawiały się zapewne także poglądy odbiegające od dwóch pierwszych skrajności i stanowiące różne postacie kompromisu między nimi.

Trzecią postawę zaprezentował autor jako postawę własną: poirytowany tą „etyczną kwadraturą koła”, sprowadził problem kolaboracji do wywodu logiczno-matematycznego. Lekarz – twierdził – ma obowiązek udzielania pomocy choremu. Jest to jego ideologia. „Mnie, Polakowi jest obojętne, czy żołnierz niemiecki polegnie trafiony drobiną ołowiu czy zarazkiem tyfusu. Ubytek każdego żołnierza wroga powiększa szanse okupowanych, zmniejsza liczbę zagazowanych, rozstrzelanych i powieszonych. W tej walce nie ma równouprawnienia, najeźdźcy są lepiej uzbrojeni niż najechni, a więc stosunek zła do dobra można w tych warunkach wyrazić równaniem matematycznym ...” Tyle R. Wójcik. Rzecz tylko w tym, że życie to nie wzór matematyczny. Już niejeden na tym się poparzył. Postawę tę można by nazwać schizofreniczną lub wieloetyczną. Co bowiem zrobić, kiedy lekarz jest zarazem Polakiem? Wielość, w tym wypadku dwoistość, etyk otwiera przed nim drogę do rozdwojenia jaźni. Tymczasem etyka jest jedna. Akceptowanie jej różnorodności prowadzi do dekompozycji psychiki.

Postawa czwarta została przedstawiona na przykładzie byłego pracownika Instytutu (karmiciela wszy), który po wojnie doszedł do pozycji znanego mikrobiologa i za wynalezienie nowej szczepionki (nie przeciw durowi plamistemu) otrzymał nagrodę państwową. Zastrzegłszy sobie anonimowość, przeprowadzającemu z nim wywiad oświadczył: „Pyta pan o granice kompromisu? (...) Moja PRL-owska służba bakteriom to także haniebna kolaboracja. Nie pomoże mi żaden glejt ochronny Weigla. Z wielomilionowego mrowia kolaborantów, którzy przeżyli PRL, wylaniają się oto, jak grzyby po deszczu, nieskalani jakoby żadnym kompromisem Niezłomni, wołając hańba pohańbionym przez Historię! Chwała nienarodzonym w czasie pogardy, (...) co nie zaznali ciężaru kajdan i nie pelzali pod butem tyranii. Więc chwała jednym, a hańba drugim. A teraz zacny dokumentalista, niech mi pan powie: dla jakiej, czyjej chwały buduje pan pomnik?”

Wypowiedź powyższa wypełniona jest klasycznym nihilizmem etycznym. Pod maską drwiny i szyderstwa kryje się w niej totalna negacja i wrogość wobec wszelkich wartości, z tej racji, że są tylko instrumentami ukrywania smutnej prawdy o świecie. Stąd przenika ją atmosfera goryczy i beznadziei. Jednak mimo buńczucznego cynizmu, człowiek, który przybrał tę postawę budzi współczucie. Widać, że jest głęboko poraniony i rozżalony; można się domyślać, że doświadczał wyrzutów sumienia. Nic natomiast nie wiemy na czym polegała jego kolaboracja, jak dalece przekroczył granice kompromisu, stąd niemożliwa jest ocena, czy jego wyrzuty sumienia były uzasadnione. W każdym razie był osobą o dużej wrażliwości. W jego relacji wyczuwa się tęsknotę za jakimś utraconym dobrem, żal za zmarnowaną szansą. Nie znając szczegółów biografii autora tej relacji, trudno o jakąkolwiek obiektywną krytykę w tym poszczególnym konkretnym wypadku. Interesuje nas jednak ta postawa nie jako konkretny przypadek, lecz jako typ. Jako zaś postawa typowa, odznacza się w porównaniu z poprzednimi postawami dużym rozchwianiem duchowym i licznymi nielogicznościami. Mimo wyjątkowości jej cech, występowanie jej w praktyce (szczególnie w PRL) nie należało do bardzo rzadkich wyjątków.

Zapoznawszy się z tak rozbieżnymi opiniami na temat kolaboracji, pełnymi splątania słusznych tez i błędnych wniosków, oraz zatłoczonych różnymi zawirowaniami światopoglądowymi, zacząłem sam wątpić, czy prawidłowo odczytałem poglądy św. Tomasza z Akwinu i ks. prof. Tadeusza Ślipki na tzw. zasadę podwójnego skutku, określającą, kiedy czynność ludzka rodząca skutek dobry i zły jest etycznie dopuszczalna. Z wątpliwościami tymi przeżyłem kolejnych sześć lat (trwały one krócej niż minione sze-

ścielecie – takie jest prawo czasu biologicznego), ale zeszyły na plan dalszy wobec ważniejszych i smutniejszych wydarzeń: choroba Doktora (częściowy paraliż), która przykuła Go na 5 lat do łóżka i nieudolne nasze próby ulżenia mu w cierpieniu. Wróciły dopiero w 2003 roku, ale z wzmożoną natarczywością. Przyczyną była fala oszczerstw obciążających winą kolaboracji wszystkich Polaków (przede wszystkim profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego), którzy w czasie wojny zatrudnili się w Instytucie Niemieckiej Pracy Wschodniej (Institut für deutsche Ostarbeit), popularnie zwanym „Ostinstytut”. Ponieważ podejrzewałem, że jest to tylko pierwsze uderzenie, a następne zostanie skierowane przeciw prof. Weigłowi i jego Instytutowi, byłem zdecydowany wystąpić publicznie w jego obronie. Do tego jednak musiałem mieć pewność, że moje rozumienie zasady podwójnego skutku jest poprawne.

Z pytaniem tym zwróciłem się do jednego z wybitnych filozofów i etyków – krakowskiego jezuitę, ks. prof. Tadeusza Ślipki. W odpowiedzi ks. Profesor potwierdził prawidłowe odczytanie przeze mnie zasady podwójnego skutku i jej przydatność do określenia etycznej dopuszczalności kolaboracji. Zaznaczył jednak, że w konkretnym wypadku inkryminowanej prof. Weigłowi kolaboracji lepiej posłużyć się innym rozumowaniem, a to z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że zasada podwójnego skutku „więcej jest znana wśród teologów i filozofów, aniżeli szerszym kręgom społeczeństwa”; po drugie zaś, dlatego, że stosowana często w etyce chrześcijańskiej, „bywa odnoszona do działań, z których obydwaj skutki: dobry i zły wynikają sprawczo i bezpośrednio”. Tymczasem w wypadku prof. Weigła i jego Instytutu „bezpośrednim, przez pracowników tego Instytutu sprawianym skutkiem jest tylko skutek dobry: wytwarzanie szczepionki, a więc lekarstwa. Złe tego lekarstwa zastosowanie nie było ani powszechne, ani bezpośrednio, ale leżało w polu bardzo od działalności Instytutu oddalonym. Bezpośrednio więcej dobra Panowie sprawiali, aniżeli zła”. W zamierzeniach prof. Weigła jak i pracowników jego Instytutu, „choć nie w efektywnych możliwościach, chodziło więcej o wspomnienie rodaków, aniżeli o wspieranie wrogich akcji okupanta. Na tę stronę zagadnienia autorzy zarzutu o kolaboracji nie zwracają w ogóle uwagi, co świadczy bądź o ich prostackiej ignorancji, bądź złej woli”.

Wprowadziłem do *Wspomnień* cały ten epizod z ks. Profesorem także dlatego, że w liście znalazła się również jego własna definicja kolaboracji zbudowana na drugiej spośród wymienionych przeze mnie wyżej dróg określania etycznej dopuszczalności kolaboracji. Polega ona na stwierdzeniu, kiedy kolaboracja jest etycznie niedopuszczalna i pośrednim uznaniu wszystkich innych jej wypadków za nieobjęte zakazem. Zdaniem ks. prof. T. Ślipki, „Kolaborantem jest tylko ten, kto świadomie przystępuje do współdziałania z moralnie złymi akcjami określonego podmiotu, w tym wypadku okupacyjnymi władzami niemieckimi, [do współdziałania] w bezpośrednich aktach eksterminacyjnych, przede wszystkim w mordowaniu niewinnych ludzi.” Definicja ta jest ewidentnie bardzo wąska, tym samym bardzo „laskawa”, liberalna dla osób uważanych przez polską opinię publiczną za kolaborantów. Nie weszliby bowiem do niej wymienieni wcześniej: artyści umiłający życie okupantom w ich ekskluzywnych lokalach „Nur für Deutsche”, literaci, publicyści dziennikarze koncesjonowanej prasy, a nawet niektórzy politycy nie kryjący swych poglądów i sympatii filogermanskich.

### *Kolaboracja jako zjawisko prawno-polityczne i społeczne*

Wobec tego powstaje konieczność jej rozszerzenia, tzn. zwiększenia i uściślenia kryteriów pozwalających na ustalenie kto jest kolaborantem. Skąd je wziąć, gdzie ich szukać? W całym okresie istnienia PRL-u nie było żadnych badań nad tym zjawiskiem. Temat kolaboracji był bardzo niebezpieczny, łatwo było popaść w „polityczną niepoprawność”; oficjalni strażnicy umysłowego zniewolenia narodu obawiali się, że jakiemuś badaczowi nie wystarczy analiza kolaboracji z okupantem niemieckim (spordycznie tolerowano badania nad poszczególnymi kolaborantami, ale nie nad kolaboracją jako zjawiskiem społecznym, politycznym, etycznym) i konsekwentnie sięgnie do kolaboracji z okupantem sowieckim na wschodnim, zabużańskim terytorium II Rzeczypospolitej w latach 1939-1941. Milczenie zapewniało bezpieczeństwo i chroniło przed „godnym potępienia naruszeniem zasad pokojowego współistnienia narodów”. Nie powstał nawet jakiś prywatny ośrodek badań nad tym problemem czy środowisko nim zainteresowane. Okazją do nieoficjalnych dyskusji i wymiany myśli mogła się stać sprawa prof. Weigła

i jego Instytutu, gdyby od początku nie ugrzęzła w zaułkach plotek i pomówień bez pokrycia. Do 1983 roku nikt nie sformułował przeciw Profesorowi żadnych konkretnych zarzutów. Dopiero w 1983 roku jego główny adwersarz wytoczył przeciw niemu konkretne oskarżenia. Były niedorzeczne, ale były. Tyle, że nadawały się do odrzucenia, a nie do zainicjowania poważnej dyskusji i wymiany myśli na temat kolaboracji jako wielostronnego zjawiska społecznego. Charakterystyczne, że w sytuacji tej nic się nie zmieniło nawet po tzw. „transformacji” (formalnej) PRL-u w III Rzeczypospolitej na przełomie lat 1989/ 90. Obowiązywała nadal dawna poprawność polityczna, gdyż nad całym krajem dominowała atmosfera „grubej kreski”, którą przekładano na hasło: przeszłość zostawiamy sporom historyków, zwracamy się ku lepszej przyszłości! Oznaczało to wzięcie pod ochronę głównych przestępców poprzedniego reżymu wraz z kolaborantami przeróżnej maści. Stan ten trwał przez kolejnych 11 lat III Rzeczypospolitej. Dopiero w 2002 roku nastąpił w nim wyłom. Niewielki wprawdzie, doraźny, bez dostrzegalnych i trwałych następstw, ale wystarczająco nagły i głęboki, by zmusić pewne kręgi myślących ludzi w Polsce do poważnego zajęcia się problemem kolaboracji. Zapoczątkowała go mała książka (wersja pracy doktorskiej obronionej na Uniwersytecie Warszawskim) Anetty Rybickiej *Instytut Niemieckiej Pracy Wschodniej. Kraków 1940-1945* (Warszawa 2002), oskarżająca polskich pracowników tegoż Instytutu (a więc i uczonych związanych z Uniwersytetem Jagiellońskim) o kolaborację z Niemcami. Poszerzenia tej wyrwy w ścianie milczenia dokonał Sławomir Sieradzki w artykule recenzyjnym *Instytut kolaboracji* („Wprost” z 30 III 2003), niewybrednym w treści i formie, sprowadzającym wnioski wynikające z książki do tezy, że uczciwi profesorowie siedzieli w obozie, a nieuczciwi kolaborowali z Niemcami.<sup>7</sup> Zawrzało. Prasa, głównie krakowska („Tygodnik Powszechny”, „Dziennik Polski”), ale także warszawska („Myśl Polska”) otworzyły swe łamy dla wypowiedzi historyków i polityków na temat kolaboracji. Polska Akademia Umiejętności w Krakowie przystąpiła do kontrataku. W maju 2003 r. odbyły się dwie debaty nad książką A. Rybickiej, jedna w Krakowie, druga w Warszawie. Po nich, 6 VI, sekretarz generalny Polskiej Akademii Umiejętności (PAU), prof. Jerzy Wyrozumski, poddał na konferencji prasowej w Krakowie druzgocącej krytyce zarówno pracę A. Rybickiej, jak i jej recenzję zamieszczoną w tygodniku „Wprost”. Książkę uznał za pozbawioną wszelkiej refleksji źródłoznawczej, nie wyczerpującą ani źródeł (autorka nie rozmawiała z żyjącymi jeszcze „kolaborantami”, pracownikami Ostinstytutu), ani literatury przedmiotu i ewidentnie tendencyjną, a w licznych szczegółach wręcz błędną. W następnym roku wyszła książka dr. Teresy Bałuk-Ulewiczowej *Wyzwolić się z błędnego koła. Institut für Deutsche Ostarbeit w świetle dokumentów Armii Krajowej i materiałów zachowanych w Polsce* (Arcana, Kraków 2004), napisana w obronie dobrego imienia polskich pracowników Ostinstytutu, a w szczególności uczonych związanych z Uniwersytetem Jagiellońskim. W sprawie tej wypowiedział się również krakowski oddział Instytutu Pamięci Narodowej.

W całej tej burzy rozpetanej wokół rzekomej kolaboracji uczonych krakowskich z Niemcami nie był najważniejszy ani jej zasięg, ani jej rozmach. Istotne bowiem znaczenie miał fakt, że w toku dyskusji, polemik, a nawet ostrych emocjonalnych starć, ich uczestnicy, świadomie czy nieświadomie, położyli fundamenty pod teorię kolaboracji, otwierając tym samym drogę do dalszych naukowych badań nad tym problemem. Dokonali przede wszystkim opisu zjawiska kolaboracji, zebrania jej cech istotnych umożliwiających wyróżnienie typów kolaboracji, a następnie przedstawili kryteria ich oceny. Postanowiłem więc przebrnąć przez ten materiał polemiczny, ale dlatego tylko, by raz jeszcze skonfrontować okupacyjną działalność prof. Weigla i jego Instytutu z ustaleniami, które przyniosły debaty nad rzekomą kolaboracją polskich pracowników krakowskiego Ostinstytutu (Polacy zatrudnieni w obu Instytutach znajdowali się w podobnej sytuacji).

Z wielu wypowiedzi (głównie prof. Andrzeja Paczkowskiego i dr. Pawła Machcewicza) i dyskusji nad nimi wyłaniają się dwa główne typy kolaboracji: a) polityczna i b) „egzystencjalna” (związana z bytowaniem człowieka).

- a) Kolaboracja polityczna jest działaniem, za „którym stoi zamysł dotyczący organizacji życia narodu lub państwa”. Dadzą się wyróżnić dwa jej warianty.

Pierwszy – to kolaboracja oparta na racjach geopolitycznych. Wynika ona z oceny położenia kraju okupowanego (w naszym wypadku – Polski) pod względem geograficznym i politycznym oraz z analizy sposobów umożliwiających przetrwanie narodu i państwa. Pod tę odmianę kolaboracji podpada np. działalność Władysława Studnickiego, znanego germanofila; tzw. memoriał lizboński z 1940 r. podsuwający

myśl kolaboracji z Niemcami, autorstwa Janusza Kowalewskiego, którego powstanie otacza wiele niejasności; kolaboracja gen. Zygmunta Berlinga z sowietami.

Drugi wariant – to współpraca oparta na powinowactwie ideologicznym między okupantem a kolaborantem lub na relacji do wspólnego wroga. Do wariantu tego należy np. działalność Narodowej Organizacji Radykalnej utworzonej za zgodą Niemców na początku ich okupacji Polski; aktywność literacka Jana Skińskiego i Feliksa Burdeckiego; kolaboracja komunistów – obywateli polskich ze Związkiem Radzieckim; współdziałanie Żydów w latach 1939-1941 z okupantem sowieckim Polski.

Kolaboracja polityczna została zabroniona przez dwa akty prawne, obowiązujące w ciągu wojny na terytorium Państwa Polskiego:

- 1) *Konwencję dotyczącą praw i zwyczajów wojny lądowej*. Podpisana została ona wraz z Regulaminem dotyczącym praw i zwyczajów wojny lądowej 18 X 1907r. w Hadze przez wiele państw z Niemcami na czele. Polska przystąpiła do niej w 1924 roku. Moc obowiązującą na jej terytorium uzyskała 9 VII 1925 roku;<sup>8</sup>
- 2) *Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30 listopada 1939r. o nieważności aktów prawnych władz okupacyjnych*.<sup>9</sup>

Otóż działalność okupacyjna prof. Weigla i jego Instytutu nie może być zaliczona w żadnym wypadku ani do pierwszego ani do drugiego wariantu niedopuszczalnej prawnie kolaboracji politycznej.

- b) W typie kolaboracji egzystencjalnej muszą być wyróżnione dwie sfery: pierwsza, obejmująca działalność określoną jednoznacznie jako kolaboracja i druga, w której mieszczą się działania nie mogące być określone jednoznacznie jako kolaboracja.

Do pierwszej sfery należy więc „wykorzystywanie systemu okupacyjnego dla doraźnych interesów jednostkowych lub grupowych” celem „osiągnięcia zysku materialnego czy zrobienia kariery”. Mieszczą się więc w niej np. „szmalcownicy”, konfidenci, donosiciele, „kapo” w obozach, policjanci granatowi, aktorzy występujący w sztukach i filmach antypolskich, redaktorzy polskojęzycznych gazet, osoby działające nawet z pobudek ideowych, ale kierujący się antysemityzmem lub antypolonizmem (np. Żydzi pod okupacją sowiecką). T. Gross wyłącza z tej grupy uczestników czarnego rynku, jeśli w swej aktywności zachowywali lojalność wobec Państwa Polskiego i jeśli aktywność ta była wolna od denuncjacji.

Do sfery drugiej natomiast należą i tacy, którzy mogą być jednoznacznie określani jako kolaboranci (np. część osób zatrudnionych w administracji najwyższego szczebla i wykonujących czynności ułatwiające represje, np. pobór na roboty przymusowe), ale i tacy, których zdecydowanie nie można uznać za kolaborantów. Do tych ostatnich należą Polacy zatrudnieni w instytucjach użyteczności publicznej (koleje, gazownie, elektrownie), z których korzystali także okupanci; dalej, Polacy zatrudnieni w fabrykach produkujących na potrzeby armii niemieckiej czy sowieckiej, nawet jeśli nie wszyscy uprawiali sabotaż. „Była to po prostu aktywność zawodowa czy gospodarcza, niezbędna dla utrzymania siebie i swojej rodziny”.

Mieści się ona całkowicie w granicach dopuszczalnej współpracy z okupantem, określonych prawnie przez wspomnianą *Konwencję Haską*, a także przez *Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej* na uchodźstwie, ogłoszony w „Monitorze” emigracyjnym. Dekret ten, przypominający i akceptujący odnośne postanowienia *Konwencji Haskiej*, wyraźnie zezwalał na kolaborację z okupantem tylko w tych sprawach, które nie wykraczają poza granice tymczasowej administracji okupowanym terytorium. Były to więc tylko sprawy gospodarcze, społeczne i samorządowe łącznie ze sprawami sanitarno-epidemicznymi.<sup>10</sup>

I do tej ostatniej podgrupy należy zaliczyć działalność okupacyjną prof. Weigla i pracowników jego Instytutu.

W całej tej sferze działań niejednoznacznie określonych jako kolaboracja trzeba bardzo często rozpatrywać osobno poszczególne wypadki, by móc ocenić, czy rzeczywiście dochodziło w nich do współpracy z okupantem. Tym bardziej, że niełatwo ocenić, czy wpływała ona z nadgorliwości kolaboranta, czy z dostosowywania się do wymogów okupanta, któremu towarzyszyły dylematy moralne (przykładem działalność judenratów lub policji żydowskiej w gettach, bądź też działalność obozowych „kapo” kwalifikowana z reguły jako kolaboracja, choć nieraz okazywała się zbawienna dla więźniów, jak np. w wypadku prof. Karoliny Lanckorońskiej).

Drugą – po skonstruowaniu typów kolaboracji i wyróżnieniu kryteriów jej oceny – zasługą dyskusji nad rzekomą kolaboracją krakowskich uczonych, jest zwrócenie uwagi na najważniejszy czynnik określający ostatecznie, co jest kolaboracją, a co nie. Jest nim legalny rząd państwa okupowanego. Może on działać, jak np. w Polsce podczas II wojny światowej, jawnie na emigracji, a w kraju poprzez swoje struktury tajne; w innych wypadkach może to być rząd działający tylko jawnie i tylko na emigracji, albo rząd działający tylko tajnie w okupowanym kraju itp. Tylko on ustala ogólne granice dopuszczalności kolaboracji, ale także granice wyjątkowe dla poszczególnych grup obywateli czy nawet poszczególnych jednostek. Wynika to stąd, że kolaboracja jest naruszeniem suwerenności państwa i obowiązku lojalności obywatela wobec niego i jego legalnego rządu. Zdarza się jednak w czasie wojny, że właśnie suwerenność państwa i jego interesy wymagają, by pewne grupy osób czy jednostki weszły w kolaborację z okupantem. W takim wypadku jedynie legalny rząd może wydać zgodę na nią, określając jednocześnie granice jej dopuszczalności. Wypadki takie zdarzały się w Polsce: np. prof. Feliks Młynarski otrzymał zgodę rządu emigracyjnego na objęcie stanowiska Prezesa Banku Emisyjnego, z zastrzeżeniem, że nie da się wciągnąć w jakiegokolwiek układy polityczne z okupantem; chodziło o to, by chronił nasz pieniądz przed manipulacjami, które mogłyby pogorszyć i tak już bardzo ciężką sytuację materialną obywateli okupowanego kraju; znany zaś lwowski literat i eseista, Stanisław Wasylewski, objął redakcję „Gazety Lwowskiej” za wiedzą i aprobatą lokalnych władz Polski Podziemnej. Podobnie i prof. UJ Małecki wszedł do krakowskiego Ostinstytutu, jak oświadczył w 1945 r. b. rektor tajnego Uniwersytetu, prof. Szafer, „nie dobrowolnie, lecz za zgodą i na polecenie polskich władz akademickich, aby spełnić ważne zadania”. Powierzono mu organizację tajnego nauczania, dlatego, że nikt inny, tylko właśnie on „wykazał w tym kierunku najżywszą inicjatywę, po wtóre zaś dlatego, że nie budził u niemieckich władz podejrzeń, gdyż był pracownikiem Ostinstytutu”.

Czy taką wyraźną zgodę miał również prof. Weigl i jego Instytut, trudno dziś powiedzieć. Jeśli ją miał, to najprawdopodobniej udzielona została w wąskim gronie wiarygodnych osób i nie pozostał po niej żaden pisemny ślad. W dostępnej mi i znanej literaturze o Instytucie prof. Weigla nikt tej sprawy nie poruszył. Natomiast jest rzeczą powszechnie znaną, odnotowywaną często we wspomnieniach wojennych, że ogromna większość pracowników Instytutu związana była z konspiracją. Wiadomo także, iż władze państwa podziemnego korzystały z opieki personelu lekarskiego Instytutu (np. wiceprezes Stronnictwa Narodowego we Lwowie, doc. dr Zdzisław Pazdro, po przesłuchaniach przez gestapo i zwolnieniu z aresztu, zjawił się w gabinecie Doktora jako pacjent), Lwowska Delegatura rządu emigracyjnego miała kontakty z polską administracją Instytutu i przez swoich łączników (jednym z nich był zatrudniony jako strzykacz, Mirosław Żuławski, reprezentant Polskiej Partii Socjalistycznej – PPS) lokowała w Instytucie swoich współpracowników lub wyrabiała dla nich dowody pracy. W najbliższym otoczeniu Doktora przebywały osoby związane z wysokimi kręgami władz podziemnych, jak np. jego długoletni i zaufany laborant Tadeusz Garliński. Gdyby władze te nie udzielały cichej aprobaty działalności Instytutu w określonych granicach, oznaczałoby to, że duża liczba współpracowników Delegatury —to kolaboranci niemieccy. Wniosek oczywiście niedorzeczny, gdyż nieprawdziwa jest jego przesłanka.

Cały ten długi wywód prowadzi do ostatecznej konkluzji: działalność okupacyjna prof. Weigla i pracowników jego Instytutu była zarówno z punktu widzenia etyki katolickiej, jak i z punktu widzenia prawnoustrojowego oraz politycznospołecznego działalnością dopuszczalną. Nie wyczerpuje zatem znamion kolaboracji w ujemnym tego słowa znaczeniu.

### *„Przemija postać tego świata”*

Na koniec refleksja ogólniejszej natury. Jak wiemy, choć nie zawsze o tym pamiętamy, „przemija postać tego świata”. Czas w naszej cywilizacji upływa coraz szybciej. Niebawem porwie on z naszej doświadczenia i prof. Weigla i sam dur plamisty, który ustąpił miejsca nowym chorobom epidemicznym. Nie mówiąc o martwiących się kolaboracją, o piszącym te słowa czy o ich aktualnych czytelnikach. Wszystko stanie się lupem kolejnych zawiei i zamieci.

Rzecz paradoksalna, że w ludzkiej rzeczywistości doczesnej ostoja się tylko... kolaboracja i problem kolaboracji. Dlaczego? Dlatego, że świat współczesny jest przekonywany, kierowany, zmuszany

i wciągany przez jego Centralne Siły Polityczne do globalizacji. Ta zaś może być urzeczywistniona w pełni tylko przez utworzenie jednego rządu światowego, tzn. przez uprzednie pozbawienie lub pozbawienie się narodów ich własnej suwerenności i suwerenności ich państw. Gdy utopia ta zostanie zrealizowana, będzie mogła funkcjonować tylko na sposób totalitarny, który swą siłą i skutkami przyćmi wszystkie totalitaryzmy dwudziestowieczne. I wtedy pojawi się problem kolaboracji, pojawią się kolaboranci i „kolaboranci”. („Może coś da się uratować?”, „może warto z czegoś zrezygnować, by uchronić coś innego?...”). W tej beznadziei jedyną pociechą realną, daleką od taniego optymizmu, jest i pozostanie świadomość, że każdy odpór dany złu, każda osoba sprzeciwiająca się jemu, pozostają na trwale w odwiecznej myśli Boga.

## Przypisy

<sup>1</sup> Ryszard Rostkowski, *Rudolf Weigl – pogromca tyfusu*, „Tygodnik Powszechny”, 2 IX 1957 r.

<sup>2</sup> Szczepionka była kontrolowana przez Niemców w różnych miejscach, m. in. także w KL Auschwitz, gdzie wypróbowywano ją na więźniach. Uzyskała tam wysoką ocenę. Mówił o tym dr Ojrzyński podczas konferencji ku czci prof. Weigla (Wrocław – październik 1994 r.) w swoim referacie opartym na źródłach niemieckich.

<sup>3</sup> Tekst zasady podwójnego skutku i warunków dopuszczających czynność rodzącą następstwa dobre i złe podałem za: Tadeusz Ślipko S. I., *Etyka chrześcijańska. Zarys etyki ogólnej*, WAM, Kraków, 1974, s. 362-363.

<sup>4</sup> Nasuwa się tu następująca myśl: Niemcy i tak przegraliby bitwę stalingradzką niezależnie od tego, czy żołnierze zostaliby zaszczepieni przeciw durowi plamistemu, czy nie. Gdyby zaś nie zostali zaszczepieni z powodu braku szczepionki, gdyż Instytut nie powstałby lub po stworzeniu został zamknięty, oznaczałoby to także, że nie byłoby szczepionki dla Polaków, a więc nie powstałoby dobro, które przynosiła kolaboracja.

<sup>5</sup> A czyż szczepionka ta nie uchroniła także tysięcy Polaków? W samym Lwowie, w Małopolsce Wschodniej, w obozach pracy, w więzieniach, w lasach? Czyż nie przemycano jej do gett? Gdy organizatorzy wspomnianej konferencji weigłowskiej (Wrocław – październik 1994) wyjaśnili w liście do redakcji „GW”, jaka była istotna rola Instytutu Weigla w czasie wojny i prosili o zamieszczenie sprostowania, zostali skwitowani lekceważącym milczeniem, co zresztą należy do obyczajów tego pisma.

<sup>6</sup> Ryszard Wójcik, *Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla*, „Odra”, 1980, nr 9, s. 5.

<sup>7</sup> Publicyści „Myśli Polskiej” jak i jeden z moich korespondentów w sprawie kolaboracji zwrócili moją uwagę na to, że nagonka na uczonych krakowskich jest tylko jednym z etapów od bardzo dawna trwającej akcji szkalowania narodu polskiego, prowadzonej przez wroga Polsce Centralne Siły Polityczne. Przed sprawą uczonych polskich była sprawa Jedwabnego, a wcześniej tzw. prowokacja kielecka. Po oszczerstwach rzuconych na Polaków przez T. Grossa w książce o Jedwabnem, niemiecki „Die Welt” napisał: „Oto na naszych oczach upada mit bohater-skich Polaków”. W sprawie zaś profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, oskarżonych o kolaborację z Niemcami w czasie, gdy byli pracownikami Ostinstytutu, chodziło o odebranie Polakom wiary w uczciwość ludzi nauki, o odebranie im dumy z przeszłości, o pozbawienie ich punktów odniesień moralnych, które stanowią ludzkie wybitni.

Cała ta akcja oszczercza nasiliła się wyraźnie po roku 1996, kiedy to Israel Singer, sekretarz generalny Światowego Kongresu Żydów powiedział: „Ponad 3 miliony Żydów zginęło w Polsce i Polacy nie będą spadkobiercami polskich Żydów. (...) Jeśli Polska nie spełni roszczeń Żydów, będzie publicznie atakowana i upokarzana na forum międzynarodowym”.

<sup>8</sup> „Dziennik Ustaw”, 1924r., nr 21, poz. 160, 161. Zakaz kolaboracji politycznej z okupantem daje się wyinterpretować z artykułów 42-56, a głównie z art. 55-go, *Regulaminu dotyczącego praw i obowiązków wojska państwowego*, dołączonego do *Konwencji Haskiej* z 18 X 1909r. Art. 55 postanawia: „Państwo okupujące uważać się będzie jedynie za administratora i użytkownika gmachów publicznych, nieruchomości, lasów i rolnych gospodarstw należących do państwa nieprzyjacielskiego, a znajdujących się w kraju okupowanym. Państwo to winno ochraniać wartość tych majątków i rządzić nimi zgodnie z zasadami użytkowania.” Z postanowienia tego wynika, że tylko takie akty prawne i zarządzenia władz okupacyjnych, których wymaga administracja okupowanego terytorium są dopuszczalne i ważne. Z tezy tej daje się wyprowadzić na zasadzie a contrario wnioski, że wszelkie inne akty prawne i zarządzenia, które nie są konieczne do administrowania terytorium okupowanym, są nieuprawnione i nieważne: np. akty natury prawno-politycznej, jak przymuszanie „ludności terytoriów okupowanych do przysięgania na wierność państwu nieprzyjacielskiemu” (art. 45) oraz wszystkie inne akty natury politycznej. Skoro zatem władze okupacyjne nie mają prawa wymuszania kolaboracji politycznej na obywatelach państwa okupowanego, to tym bardziej obywatele ci nie mogą podejmować takiej kolaboracji dobrowolnie, nie łamiąc jednocześnie obowiązku lojalności wobec własnego państwa.

Pierwszym, który zwrócił uwagę na unormowanie kolaboracji przez prawo międzynarodowe, był prof. Feliks Młynarski. Wracając w swych *Wspomnieniach* (PWN, Warszawa, s. 425) do początków okupacji niemieckiej Polski, pisze: „Jedną z konwencji genewskich dotycząca stosunków ludności z okupantem uznawała dopuszczalność współpracy w sprawach czysto gospodarczych. Wiedziałem również z radia, że w „Monitorze”, organie rządu emigracyjnego, ukazało się już rozporządzenie, które zabraniało współpracy politycznej, ale wyraźnie zezwalało na współpracę w sprawach gospodarczych, społecznych i samorządowych.” Niestety, informacja ta zawiera istotną pomyłkę: konwencja dotycząca stosunków ludności z okupantem – to nie „jedna z konwencji genewskich”, a jedna z haskich: zacytowana wyżej tzw. IV *Konwencja Haska* z 18 X 1909r. I także niestety, wiadomość ta została bez sprawdzenia powtórzona przez prof. Stanisława Kutrzebę w jego pracy *W obronie spotwarzanej instytucji. Rzecz o Polskiej Akademii Umiejętności roku 1945*. Kraków 2003.

<sup>9</sup> „Monitor Polski”, Angers, 23 XII 1939, nr 285-288, s. 1. *Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej* jeszcze wyraźniej i silniej niż *Konwencja Haska* podkreślał zakaz kolaboracji. Powołując się na nią w art. 1., stanowi, że wszelkie akty i zarządzenia władz okupacyjnych są z reguły „nieważne i niebyłe”, wyjątek stanowią jedynie akty prawne i zarządzenia niezbędne do administrowania okupowanym terytorium. Stąd również regułą jest zakaz kolaboracji, a jej dopuszczalność spada do pozycji wyjątku. Art. 2 i 3 *Dekretu* dodatkowo wyróżniają i akcentują nieważność aktów prawnych i zarządzeń okupanta, które ingerują w prawa własności Państwa Polskiego, związków komunalnych oraz osób fizycznych i prawnych. Nieważność ta jest jeszcze dodatkowo podkreślona, jeśli wspomniane akty prawne wynikają „ze stosowania eksterminacyjnej polityki narodowościowej”. Podobnie, specjalnie wyróżnione zostały jako nieważne wszelkie akty legislacyjne władz okupacyjnych wprowadzające sekwestr, zarząd przymusowy lub różne inne zmiany w sposobie zarządzania i użytkowania mienia osób fizycznych i prawnych prawa polskiego, a także ingerujące w skład władz spółek i personelu zarządzającego interesami tychże osób.

Na koniec, *Dekret* postanawia, że obywatel polski, który nie podda się zakazowi kolaboracji w wymienionych wypadkach i „będzie pomagał władzom okupacyjnym do wykonywania aktów wskazanych w artykule 1-5, podlegnie karze do 10 lat więzienia oraz grzywnie lub konfiskacie całego mienia”.

<sup>10</sup> *Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej* z 30 XI 1939r. oprócz ogólnego odwołania się do IV *Konwencji Haskiej* zawiera jeden artykuł nowatorski. Jest nim art. 3., wprowadzający jako nową podstawę dopuszczalności kolaboracji – interes obywateli polskich. Jeśli mianowicie w ich interesie jako osób fizycznych lub prawnych leżą pewne zmiany w składzie władz spółek i personelu zarządzającego ich sprawami, albo zmiany w sposobie zarządzania i użytkowania ich mienia, wówczas złożenie przez nich władzom okupacyjnym nieprzymuszonego wniosku o przeprowadzenie tych zmian mieści się w ramach kolaboracji dopuszczalnej. Akty zaś prawne wydane w tych sprawach przez władze okupacyjne otrzymują moc prawną w trybie uznania ich przez władze polskie. (W domyśle: po wojnie). Artykuł ten jest precedensowy, pozwala bowiem we wszystkich wypadkach spornych na odwołanie się do kryterium interesu obywateli polskich jako do podstawy prawnej określającej, czy kolaboracja była dopuszczalna, czy niedopuszczalna.